

Wysłałam z gęstego lasu na wąską ścieżkę obsypaną złocistymi liśćmi. Chciałabym, żeby panował jesienny urok promieni słonecznych, przebijających się przez nagie gałęzie. Niestety jest zbyt późno na słońce, straciłam przy tobie ostatni ciepły dzień tego roku. Wzdłuż lasu poruszam się w nierównym tempie. Drętwieją mi dłonie, pocą się plecy, nerwowo spoglądam za siebie. Możesz jeszcze wrócić i odejść beze mnie, ależ to by było przykre. Mam piasek w kieszeni, w niej jeszcze pachnie skórzaną rocznicą.

Zielony płaszcz należy wyprać po takich ekscesach, po takiej nocy. Swędzą mnie nogi, cała jestem w brudzie i trudem się, by w znoju dotrzeć na miejsce bez szwanku, chociaż znam twoją przepowiednię i wiem, że nie powinnam iść krętą drogą do domku za wzgórzem. Spodnie spalić, buty oddać bezdomnemu i tylko z rękawiczkami mam problem, bo to dowód miłości do mojej... mrocznej duszy. Tańczyliśmy wtuleni w siebie, a przecież nie lubiłeś trzymać mych ramion w objęciach. Walc na plaży przy muzyce z fruujących liści. To pewnie przez ten szelest jesienny uderzyłeś mnie pięścią w policzek. Niech zgadnę, nie chciałeś, ty taki po prostu byłeś. Spowiadałeś się do mojego ucha, na mokrym piasku płakałeś jak dziecko. Mogłabym ci wybaczyć, gdyby nie ten twój akcent alkoholika. Zabawne, sam prosiłeś, żebym zabrała nóż do kielbasek.

Trzeszczą patyki pod podeszwami, gdy wydeptuję na naszych wspólnych śladach, świeże odbicia zakrwawionego obuwia. Nie tęsknie za tobą, nie jest mi smutno, może dlatego, że wciąż bolą mnie siniaki na brzuchu. Nie chciałeś spokojnie leżeć na plaży, słuchać mew, statków i sieci rybackich. Pytałeś, jak to jest umrzeć? Teraz wiesz. Dałeś się zwieść ofierze, ukatrupił cię potulny baranek.

Płonęło ognisko, iskry leciały do góry i znikają w nich życie. Błyszczały ci oczy, gdy spoglądałeś wysoko, to było cudowne, byłeś taki spokojny. Nasza dzika plaża, taką nazwę wybrałeś dla miejsca spoczynku twych zwłok, kochany, nie tęsknie już. Szumi wiatr, huczy pod kapturem, bóg chyba zorientował się co zrobiłam. Tracę oddech, ale nie żałuję i ciągnę swe cielsko pod górę. Ze skarpy będę mieć widok na piasek i morze, gasnące ognisko, na ciebie kochany też będę zerkać. Z iskierekami w źrenicach pożegnaj się z twoją twarzą ukrytą pod kołderką piany z przypływu. Odnajdujesz harmonię obcując z jodem?

Niosłeś drzewo w stronę brzegu. Widziałam jak chowałeś piersiówkę do kurtki. Te twoje kolorowe wódki o smaku wiśni. Myślałeś, że nie dostrzegę cię za drzewem? Miałam nie dąsać się w naszą trzecią rocznicę, ale miałeś nie pić do ciężkiej cholery! To był twój powód do picia, mój książę mały - bicie mnie - to zmuszało cię do otwierania butelek. Uhłaskałeś nasze życie w pętle. Ta twoja muzyka, artysto, teraz zaczniesz być sławny i zdobędziesz uznanie. Wybitny pijak, przy nutach odbija niepowodzenia. Nie wychodziłam z domu, ale kogo obchodzi twarz żonki kompozytora, liczy się gęsia skórka widowni. Durniu, musiałeś mieć manię wielkości? Powiedziałeś, zatańczmy jak kiedyś. Nuciałeś "Noce i dnie", a ja w myślach powtarzałam, danse macabre, danse macabre skurwielu, danse macabre... Jestem śmiercią tego wieczoru i wytańczyłam wolność w objęciach potwora. Piękna i bestia w jednej osobie. Krzyczałam, potem płakałam. Uderzyłeś, potem zacząłeś spowiedź. Było za późno, byłam gotowa, a ty byłeś bleśdzy niż zwykle. Szare niebo, granatowy las, czarna woda polana twoją wiśniową krwią, panie Sopllica.

I co? To koniec? Spacerkiem pokonuję te niebezpieczne kręte drogi. Wciąż leżysz, a ja nadal nie płaczę. Deszcz rosi kamyki na skarpie z której mam widok na naszą dziką plażę. Co za idiotyczna nazwa, pasuję do ciebie, panie kompozyt. Widzę cię, bezbronny, co czułeś, gdy patrzyłeś mi w oczy, a nóż wiercił w twoim sercu dziurę? Chciałeś tego? Podałeś się, nie walczyłeś, ale na wszelki wypadek ułożyłam twoje ciało bliżej wody i pozwoliłam obmyć morzu twą zagubioną minę. Żegnaj kochany.

Spełniło się. To była chwila, spadłam. Oddycham, ciężko oddycham i stękam. Pomocy, zabierzcie mnie od jego ciała, nie chcę przy nim umierać. Przepowiedziałeś naszą śmierć. Wiedziałeś, spodziewałeś się, że tym nożem rozpoczniesz koniec. Mijają godziny, pada, wieje, świta, przestaje padać. Wciąż się nie ruszasz i ja sparaliżowana. Zabawne, że nigdy nie byliśmy sobie tak bliscy. *Leżymy chłodni nad wodą i patrzymy we wschodzące słońce niczym ćmy niedoskonałe, ulegli jego śmiertelnemu urokowi.*

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

szybki_pisarz, dodano 28.02.2017 15:53

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.